

Dr Alicja Malewska

Stowarzyszenie Naukowców Polaków Litwy, Litwa

Profesor Wojciech Narębski: o młodości w Wilnie i długiej drodze do Polski

Profesor dr hab. Wojciech Narębski – geochemik, członek Polskiej Akademii Umiejętności, kombatan, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, wieloletni prezes Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. Swoim bogatym życiorysem mógłby obdzielić co najmniej kilka osób. Z czytelnikami „Rocznika SNPL” Profesor dzieli się wspomnieniami i opowiada o swoich związkach z Wilnem.

Kresowy rodowód

Ród Narębskich wywodzi się z Małopolski, natomiast moje kresowe korzenie zawdzięczaam Babci Konstancji, z domu Karnickiej. Wyszła za mąż za Józefa Narębskiego – lekarza, który w Wilnie odbywał służbę wojskową. Niedługo po ślubie przenieśli się do Groznego, gdyż Dziadek Józef został skierowany przez wojskowe władze carskie do Kozackiego Pułku Konnego. Tam przysła na świat trójka ich dzieci – Justyna, Piotr i Stefan, mój Ojciec. Dziadek Józef zmarł w Groznie, prawdopodobnie na raka. Babcia wróciła sama z dziećmi do rodzinnego majątku na Wileńszczyźnie. Po jakimś czasie przenieśli się do Wilna, gdzie zamieszkali w należącem do krewnego dawnym pałacu Reussów. Babcia zmarła w 1919 r., została pochowana na Rossie, a granitowy obelisk na jej grobie zaprojektował mój Ojciec.

Ojciec wybrał zawód architekta – najpierw studiował w Petersburgu, a później w Warszawie. Podczas studiów poznał moją Mamę i razem zamieszkali we Włocławku, gdzie przyszedłem na świat. Po kilku latach Ojcu zaproponowano stanowisko architekta miejskiego w Wilnie. Niebawem dołączyliśmy do niego całą rodziną – miałem starszą siostrę Barbarę i młodszego brata Juliusza.

Zamieszkaliśmy przy Zaułku Montwiłłowskim, dzisiejszej ulicy Savickio, w domu zaprojektowanym przez mojego Ojca. Mieściła się tam cała nasza rodzina i stryj Piotr, który był sędzią, a później prokuratorem. Obecnie dolne piętro naszego domu jest uznane za zabytek architektury, a na budynku znajduje się tablica pamiątkowa poświęcona Ojcu, którą

Fot. 1. Rodzinny dom Narębskich w Wilnie projektu Stefana Narębskiego



Foto: archiwum prywatne.

udało się umieścić dzięki pomocy Fundacji Kultury Polskiej na Litwie im. J. Montwiłła. Do wmurowania tablicy przyczyniła się również w dużym stopniu historyk sztuki dr Rūta Vitkauskienė z Instytutu Sztuk Pięknych [obecnie docent w Katedrze Historii i Teorii Sztuki Wileńskiej Akademii Sztuki – A.M.]. Poznaliśmy się w ciekawy sposób. Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości pani Rūta dostała zadanie odtworzenia starego wystroju Pałacu Arcybiskupiego, bo w czasach komunistycznych wszystkie religijne atrybuty zostały stamtąd usunięte i wrzucone do piwnic. Okazało się, że moja siostra w Toruniu posiada oryginalne szkice pałacu, który powstał według projektu Ojca. Dzięki temu udało się odtworzyć wygląd budynku z czasów, gdy urzędował tam arcybiskup Romuald Jałbrzykowski. Autorstwa mojego Ojca jest również szkoła na Antokolu i wnętrza ratusza.

Lata szkolne w Wilnie

Chodziłem do prywatnej szkoły powszechnej, a wcześniej, do klasy czwartej włącznie, tzw. komplety odbywały się w domu. Nauczycielka przychodziła do domu i uczyła kilkoro uczniów, co się często zdarzało w tzw. inteligentkich rodzinach. „Nasza szkoła” pani Machcewiczowej

Fot. 2. Profesor Wojciech Narębski z rodzeństwem na placu Łukiskim



Foto: archiwum prywatne.

mieściła się przy ulicy Mickiewicza, naprzeciwko kina „Helios”. Pamiętam, że w tym kinie oglądałem kiedyś film z Charliem Chaplinem. W naszej szkole nie było żadnego Litwina, ale uczyła się jedna Karaimka, Marianka Zajączowska, która później w Krakowie była tłumaczką przysięgłą języka litewskiego. Była też jedna Tatarka, Misia Greczyńska, która wyjechała do Szwecji.

Później rozpocząłem naukę w męskim Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta. Pamiętam do dziś niektórych nauczycieli: dyrektorem gimnazjum był Jan Żelski, nauczycielem fizyki – Józef Hryniewicz, ojciec Andrzeja Hryniewicza, wybitnego fizyka. Moją polonistką była Maria Stabińska-Przybytkowa, którą kiedyś spotkałem przypadkowo na ulicy we Wrocławiu. Powiedziałem jej, że do dzisiaj pamiętam fraszkę Kochanowskiego „Na lipę”, bo dostałem za nią dwóję. Byłem jednym z najlepszych uczniów, a tego wiersza się akurat nie nauczyłem i pech chciał, że zostałem wyrwany do odpowiedzi. Geografem był Antoni Skórko, który często zabierał nas na geograficzne wycieczki w okolice Wilna. Moją wychowawczynią była świetna germanistka Herta Dzikowska, żona kustosa biblioteki Uniwersytetu Stefana Batorego. W późniejszych latach oboje przenieśli się do Torunia i pan Dzikowski został kustoszem Biblioteki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika, do której przewieziono niewielką część książek z Wilna. Herta Dzikowska,

bardzo porządna kobieta, była rodowitą Niemką. Pamiętam, że zaraz po wybuchu wojny byliśmy na mszy św. w kaplicy i na końcu tradycyjnie odśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę”. Nasza wychowawczyni płakała.

Niezwykle oryginalną postacią był nasz łacinnik Władysław Burczyk, który był znany jako bardzo ostry nauczyciel. Dzięki niemu do dziś znam łacinę. Profesor miał ciekawą metodę oceniania: pierwsza strona zeszytu była podzielona na część z ocenami ujemnymi i dodatnimi, na każdej lekcji nas przepytывał i wystawiał stopnie. Słówka, składnia, gramatyka – wszystko oceniał oddzielnie. Znany był również z tego, że nie znosił nieprzepisowo ubranych uczniów. Nosiliśmy mundurki z tarczą, nr 931. o ile dobrze pamiętam. Obowiązywał nas też granatowy krawat, przynajmniej na uroczystościach. Jeżeli krawat był nieprzepisowy, to profesor Burczyk go zabierał i później paradował ze swoim łupem zawieszonym na ręku.

W Gimnazjum im. Zygmunta Augusta działała żeglarska drużyna harcerska „Błękitna Jedynka”, mieliśmy swoją bazę nad jeziorem Narocz. Należałem do niej od 1937 r., w 1939 r. na obozie pełniłem funkcję zastępowego zastępy „Morsów”, miałem stopień wywiadowcy. Zgodnie z tradycją nosiliśmy mundurki marynarskie. Po wojnie przez wiele

Fot. 3. Obóz żeglarskiej „Błękitnej Jedynki” nad Naroczą (1938)

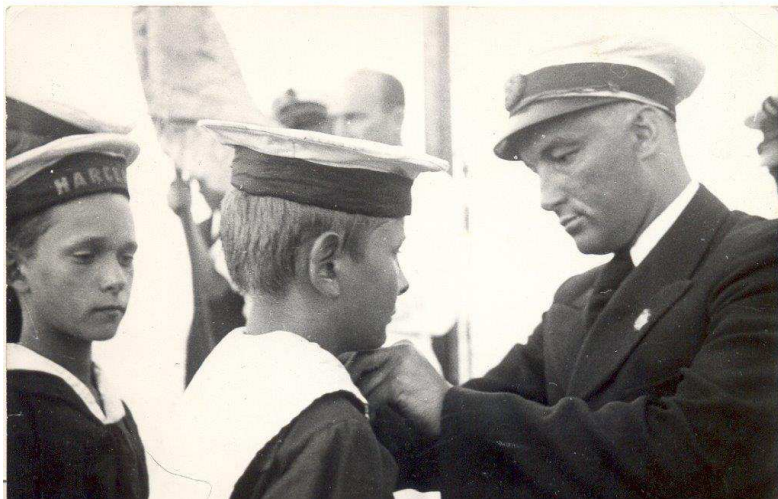


Foto: archiwum prywatne.

lat tradycyjnie co roku organizowaliśmy spotkania „błękitniaków”. Niestety, dzisiaj żyje już tylko paru druhów z tamtych czasów.

Po zajęciu Wilna w naszej szkole wprowadzono nauczanie języka litewskiego, ale przez cały czas walczyli z nami *Międzynarodówkę* po litewsku [Profesor bezbłędnie wyrecytował ją z pamięci]. Litewskiego uczyłem się tylko przez rok, więc umiem zaledwie powiedzieć: *laba diena, labas vakaras* czy jakieś przekleństwa, bo tego się człowiek najszybciej uczy. Pamiętam, że policjanci litewscy w Wilnie nosili wtedy takie wręcz operetkowe stroje – z pióropuszcami na głowach. Więc myśly nazywali ich „kalakutasami”, bo przypominali z wyglądu indyki.

Aresztowanie

Moi najbliżsi szkolni koledzy też są pochowani na Rossie. To Janek Hiller, który zginął w partyzantce, oraz Mikołaj Turuto, który razem z Jurkiem Turkowskim w czasie wojny próbowali na Górze Boufałłowej rozbroić żandarma litewskiego. Zaciął im się pistolet, żandarm ich postrzelił, a oni wykrwawili się na śmierć.

Jeszcze jako uczeń zostałem członkiem Związku Wolnych Polaków. Aresztowano mnie i wsadzono do więzienia na Łukiszkach 18 kwietnia 1941 r., po roku pracy w konspiracji. Młodzi członkowie organizacji byli odpowiedzialni za kolportaż nielegalnej gazetki „Za naszą i Waszą wolność”. W naszym ogrodzie znajdował się schron przeciwlotniczy, wybudowany jeszcze przed wojną. W tym schronie ukrywaliśmy powielacz, na którym drukowano naszą gazetkę. Było to o tyle niebezpieczne, że dokwaterowano nam wtedy do domu oficera NKWD z żoną. Musieliśmy bardzo uważać, bo okna jego pokoju wychodziły właśnie na ogród.

Całą naszą grupę, chyba z 7 osób, zamknęli w więzieniu w kwietniu i trzymali do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941. Wszyscy byliśmy harcerzami, więc porozumiewaliśmy się w więzieniu za pomocą alfabetu Morse’a, stukając w kaloryfery. Ustaliliśmy w ten sposób wspólną wersję obrony: należeliśmy do polskiej organizacji, ale nie była to organizacja antysowiecka, tylko antyniemiecka.

Ludzie trafiali na Łukiszki z błahych powodów. W pewnym momencie dokwaterowano mnie do celi z pewnym chłopem spod Niemenczyzna. Podczas głosowania do Sejmu Socjalistycznej Republiki Litewskiej powiedział on, że na takich głupków nie będzie głosował. I to wystarczyło, żeby go wsadzić do więzienia. Umarł podczas wywózki. Co cie-

kawe, 3 dni przed wybuchem wojny „strielki” [strzelcy – A.M.] NKWD posadziły w naszej celi oficera sowieckiego, Michaiła Iwanowicza Zwerjewa. Myśmy cicho siedzieli, bo byliśmy przekonani, że to prowokacja. A to był całkiem porządny człowiek, nie zadenuncjował nas. Zresztą sam był bardzo rozczarowany rzeczywistością sowiecką.

Gdy Niemcy dotarli już pod Wilno, wywieziono nas pociągami do miasta Gorkij, obecnie Niżny Nowogród. Jedenaście dni jechaliśmy sfłoczeni w wagonach towarowych. Naszych śledztw nie zdążono skończyć, a podczas drogi przez Rosję dokumenty się zagubiły. Enkawudziści niczego ze sobą nie wzięli, zresztą z Wilna uciekali tak szybko, że nawet własne żony pozostawiali. W Gorkim zamknęli nas w ogromnych, ponad stuosobowych salach. Było tam strasznie ciasno. Na szczęście prawie wszyscy mieliśmy płaszcze, które rozściełaliśmy na ziemi, idąc spać. A nocą musieliśmy na komendę przewracać się na drugi bok, bo było za ciasno, żeby spać na plecach. Znalazło się tam mnóstwo znanych wilnian, dzięki czemu odbywały się bardzo ciekawe wykłady. Uwięziony tam był m.in. znany jezuita, o. dr Kazimierz Kucharski, którego później spotkałem w naszym Korpusie w Iraku.

Po zawarciu układu Sikorski–Majski wyprowadzono nas na całodzienny spacer w więzieniu i słyszeliśmy, że w naszych celach coś się dzieje – w ruch poszły piły, siekiery. Gdy wróciliśmy, zastaliśmy już gotowe czteropiętrowe prycze. Zaczęto nas wtedy zupełnie inaczej traktować. Wezwał mnie wtedy śledczy i mówi: „No, Wojciech Stiepanowicz, teraz my druzja. Wypuścimy Pana, ale nie może Pan wrócić do Wilna, bo tam już są Niemcy.” Oczywiście nie otwarto po prostu bram więzień, tylko wszystko musiało się odbywać zgodnie z ustalonym porządkiem. Każdy więzień wypuszczony na podstawie amnestii jako polski obywatel musiał udać się do przydzielonego miejsca pobytu.

W szeregach Armii Polskiej

Zostałem skierowany do obwodu kirowskiego, gdzie na szczęście spotkałem oficerów z Nowej Wilejki. Miałem skończone jedynie 16 lat, więc nie osiągnąłem jeszcze wieku poborowego, ale dobrowolnie zaciągnąłem się do Armii Polskiej. Do wojska wstąpiłem w Buzułuku, gdzie stacjonowało nasze dowództwo. Ale już po kilku dniach ciężko się rozchorowałem, co było skutkiem pobytu w więzieniu. Młody organizm źle zniósł pół roku niedożywienia, więc wylądowałem w szpitalu. Trzeba

pamiętać, że w listopadzie na Powołżu temperatura potrafi osiągnąć –50 stopni Celsjusza. To był rejon, do którego zsyłano Polaków po powstaniach. Co ciekawe, wiele lat później dowiedziałem się, że pierwszym geologiem, który zrobił pierwszą mapę południowego Uralu, był filomata Tomasz Zan. Szukam teraz oryginału tej mapy, ale nie wiadomo, w którym archiwum jest przechowywana.

Całe wojsko, które powstało na Powołżu, przeniesiono do Uzbekistanu. Następnie armia ruszyła na Bliski Wschód, do Persji, ale pojawił się pewien problem. Stalin zgodził się na przemarsz jedynie wojska, a nie cywilów. Ale generał Władysław Anders twardo stał na stanowisku, że nie może zostawić żon i dzieci swoich żołnierzy. 70 tysiącom żołnierzy towarzyszyło więc 40 tysięcy cywilów. To był poważny kłopot dla przyjmujących nas Anglików, bo byli przygotowani tylko na wojsko, a nagle zjawiono się o 40 tysięcy więcej osób. Niespodziewanie ratunek przyszedł ze strony szacha perskiego. Dzieci trafiły do Isfahanu, miasta na południe od Teheranu, który odtąd nazywano „miastem polskich dzieci”. Schronienie znalazło tam niemal 2 tys. dzieci. Zapewniono im kwatery, szkoły, idealne, jak na wojnę, warunki życia. Po pewnym czasie dzieci rozesłano po całym świecie – do Nowej Zelandii, Indii itd.

Z wojskiem pojechałem do Palestyny, gdzie powstała 3. Dywizja Strzelców Karpackich. Znów poważnie zachorowałem, po raz drugi trafiłem do szpitala. Na komisji lekarskiej w Palestynie lekarze uznali, że takie chuchro, ważące 42 kg, nie ma co robić w piechocie, skierowano mnie więc do zaopatrzenia. Zameldowałem się u dowódcy, który powiedział, że bardzo się cieszy i od razu ochrzcił mnie „małym Wojtkiem”. Okazało się, że „dużym Wojtkiem” jest słynny niedźwiedź Wojtek, który wtedy był jeszcze małym misiem. Przez resztę wojny byłem członkiem 22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii.

W skład 2. Korpusu Polskiego wchodziła m.in. 5. Kresowa Dywizja Piechoty. Ta jednostka odegrała bardzo istotną rolę w kampanii włoskiej, w tym w bitwie o Monte Cassino i o Ankone, ważny port adriatycki. Z punktu widzenia wojskowego Ankona była nawet ważniejsza od Monte Cassino, bo zapewniała dostęp do zaopatrzenia morskiego. Żołnierze z tej dywizji bardzo dbali o kultywowanie wileńskich tradycji. Stacjonując w Modenie koło Bolonii, zbudowali makietę Ostrej Bramy i zorganizowali tradycyjnego Kaziuka. A po Wielkanocy oczywiście „kaczaliśmy” z kresowymi żołnierzami jajka – w dzieciństwie była to jedna z moich ulubionych tradycji świątecznych.

W czasie mojego pobytu w Palestynie wyszedł rozkaz, że cała młodzież powinna kontynuować naukę przerwana przez wojnę. Wiele zawdzięczam generałowi W. Andersowi, bo on bardzo dbał o młodych żołnierzy. Rozumiał, że straciliśmy cenne lata z naszego wykształcenia, więc jak tylko milkły działa, organizował kursy maturalne. A po wojnie te kursy zmieniły się w normalne gimnazja, licea i szkoły zawodowe. Była szkoła rolnicza we Włoszech, szkoła administracyjno-handlowa, szkoła mechaniczna w Anglii. W Wilnie zostałem aresztowany w IV klasie, w kwietniu, więc nie zdążyłem ukończyć gimnazjum. W przerwach od działań wojennych zrobiłem więc małą maturę. Następnie we Włoszech zrobiłem I klasę licealną i pół II, a w Anglii – maturę.

Losy powojenne

Po wojnie miałem poważny dylemat – wracać do kraju czy nie. Miałem już za sobą doświadczenie pobytu w więzieniu NKWD, więc wiedziałem, czego można oczekiwać po takim ustroju. Mojego Ojca w trakcie okupacji aresztowali Niemcy, siedział w więzieniu na Łukiszkach, ale na szczęście szybko go zwolniono. Później został aresztowany przez bolszewików, gdzie jedynie przez szczęśliwy zbieg okoliczności

Fot. 4. Profesor Wojciech Narębski



Foto: archiwum prywatne.

uniknął wywózki. Moja siostra Basia również została aresztowana i trafiła do łagru, pracowała przy budowie gazociągu Saratow–Moskwa. Napisała później książeczkę o tym pobycie. Jak widać, niemal cała moja rodzina była prześladowana, ale szczęśliwie po wojnie wszyscy spotkali się w Toruniu. Tylko ja jako jedyny wciąż przebywałem za granicą. Mój brat Juliusz napisał do mnie list, w którym przekonał mnie do powrotu do rodziny i ojczyzny.

Ojciec przed wojną był profesorem Wydziału Sztuk Pięknych, czy jak to się w Wilnie mówiło – Sztuk Piękności. W 1945 r. wszystkich zwolnionych polskich profesorów z Uniwersytetu Stefana Batorego zaproszono na nowo powstający Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pracownicy USB mieli do dyspozycji swój pociąg, dzięki czemu mój ojciec zabrał z Wilna nawet część mebli. Wśród wykładowców, którzy zasilili szeregi kadry Wydziału Sztuk Pięknych w Toruniu, byli wybitni malarze wileńscy, tacy jak Bronisław Jamontt, pejzażysta, czy Jerzy Hoppen, barokista. W ten sposób UMK stał się kontynuatorem wileńskich tradycji akademickich.

Po powrocie do Torunia zacząłem studiować chemię, a potem – już w Krakowie – nauki o ziemi. Przez resztę życia kontynuowałem swoją pracę naukową na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po raz pierwszy wróciłem do Wilna po wojnie w dosyć oryginalnych okolicznościach. Miałem w tamtych czasach dobre kontakty zawodowe z geologami rosyjskimi. W ramach pracy otrzymałem od nich zaproszenie na tygodniową delegację do Moskwy i Leningradu. Powiedziałem im szczerze, że nie mam, co tam robić i wołałbym pojechać do Wilna. Również wśród litewskich geologów miałem kilku serdecznych przyjaciół, którzy wystosowali odpowiednie oficjalne zaproszenie. Dzięki temu niespodziewanie otrzymałem bilet kolejowy z Leningradu do Wilna i mogłem po raz pierwszy od długiego czasu zobaczyć moje miasto.

Odtąd wielokrotnie odwiedzałem Wilno, które wciąż znam nie gorzej niż Kraków i które jest mi szczególnie bliskie. Cieszę się, że obecne władze miasta dbają o zabytki, chociaż szkoda, że usuwane są niektóre ślady polskiego dziedzictwa. Z zainteresowaniem śledzę urbanistyczny rozwój miasta. Mój Ojciec jeszcze przed wojną wskazywał na Śnipiszki jako przyszłościową dzielnicę, w której powinno powstać centrum nowoczesnego Wilna, więc cieszę się, że jego koncepcje są realizowane. I tylko Góra Zamkowa bez drzew mnie bardzo zdziwiła – nie wygląda to dobrze.